

Remigiusz Tabisz

Z OJCA NA SYNA

Historia rodziny Tabiszów



Miałem przed sobą nie lada wyzwanie – prześledzić życie dwóch bliskich mi osób: przede wszystkim mojego dziadka Bartłomieja i ojca Henryka. Mężczyzn tylko z pozoru jakich wiele – z jasnymi zasadami i wartościami. Niezwykłe koleje losu dziadka Bartłomieja: od wyjazdu do Ameryki, poprzez walkę w austriackim mundurze, zesłanie na Syberię i wielką stamtąd ucieczkę to materiał na film sensacyjno-przygodowy. W 1921 roku Bartłomiej trafia w okolice Strzelna koło Inowrocławia i staje się gospodarzem 23-hektarowego gospodarstwa z murowanym domem. Niestety szczęśliwe lata beztróskiego życia mijają szybko. Wybuch II wojna światowa, a kiedy po paroletniej tułaczce udaje się wrócić na swoje, to już nie wiekowy Bartłomiej, a jego syn Henryk przejmuje posiadłość, stając się jednak wrogiem ludu, kułakiem, i tylko niespodziewane wypadki polityczne wybawiają ojcowiznę od przejęcia przez państwo. Historia Bartłomieja i Henryka Tabiszów to przykład rodziny biorącej życie za rogi, której niestraszne są kolejne dziejowe zawieruchy, wierzącej, że życie jest darem, a ludzie z natury dobrzy.



Sorus

PRZEJDŹ
do księgarni online:
www.sorus.pl

Remigiusz Tabisz

Z OJCA NA SYNA

Historia rodziny Tabiszów

Redaktorka prowadząca
Michalina Wesołowska

Redakcja
Izabela Dachtera-Walędziak

Projekt okładki
Katarzyna Plichta

Zdjęcia pochodzą z rodzinnego archiwum Remigiusza Tabisza.

Copyright © by Remigiusz Tabisz 2022
Copyright © by Sorus 2022

Wydanie I

ISBN 978-83-66664-79-1 e-book

Wydawnictwo Sorus
Księgarnia internetowa: www.sorus.pl

Przygotowanie, druk i dystrybucja
DM Sorus sp. z o.o.
ul. Bóżnicza 15/6, 61-751 Poznań
tel. +48 61 653 01 43
sorus@sorus.pl

Od autora

Nie czekaj, bo pora nigdy nie będzie w sam raz...

Przez wieki na terenie dzisiejszej Polski mieszkali różne plemiona wędrownie, które z kolei podbijały inne, tworząc tym samym grody, księstwa, a potem państwa. W grę wchodziła wielkość zagarniętego obszaru, ale również jakość czy punkt strategiczny zdobytego terenu, ziemia pod uprawę, woda do łowienia ryb, puszcze bogate w zwierzynę łowną i runo leśne. W tych przedwiekowych podbojach i zmaganiach uczestniczyli wojowie i rycerze, zaś prosty lud miał własne problemy, które towarzyszyły mu w codziennym życiu. Chlebem powszednim była śmierć, choroby, kłótnie, zwady w rodzinie, zazdrość, różne spory czy nawet bijatyki. Były też osobiste ambicje, które to powodowały tak zwane „pójście w nieznaną”. To znak, że dany członek rodu chciał się usamodzielnic, odłączyć od rodzinnych korzeni i zbudować coś swojego. Hipotez może być wiele.

W bardzo ogólnym zarysie naszkicowałem historyczne ruchy grup społecznych czy ludów, aby choć trochę zbliżyć się do wyjaśnienia przyczyny pochodzenia rodu Tabiszów. Z różnych źródeł wynika, że główny trzon Tabiszowskiego rodu pochodzi z narożnego, południowo-wschodniego, przygranicznego skrawka Polski. Nie wiemy, jak wielka była to rodzina, czy ród był jednolity, skąd przybył w to miejsce, czym się zajmowali jego członkowie, w co wierzyli. Osada czy siedlisko to nazywało się Podzamcze koło Buczacza przy południowo-wschodniej granicy ówczesnej Polski. Rejon ten graniczył z Ukrainą, Mołdawią i Węgrami. Była to miejscowość oddalona o kilkanaście kilometrów na wschód od Stanisławowa (dzisiejszy Iwano-Frankowsk).

Wiemy, że król Polski Kazimierz Wielki w XIV wieku rozpoczął na szeroka skalę akcję osadniczą na obszarach ówczesnej ziemi sanockiej, obejmującą obszar między Wisłoką a Sanem, bo grunty były tu płodne, a i klimat łagodny. Sądzę, że intratne zachęty króla Polski były przyczynkiem odłączenia się pewnej części rodu Tabiszów i przesiedlenia się na ziemię sanocką. Dlatego też przybyli tu osadnicy mówili, że zasiedlają osadę królewską. Warunki do gospodarowania mieli bardzo korzystne, przede wszystkim nie musieli płacić daniny, gdyż ziemie z dzikości i ugoru do użytku doprowadzali. Do tego możni i rycerstwo wspomagały przybyłych w ich zmaganiach z naturą.

Na temat powstania osady Trześniów krąży do dziś kilka legend. Utrzymuje się, że założył ją powracający z wyprawy wojennej rycerz. Jeden z kronikarzy Trześniowa – Michał Prugar twierdził, że był to Czesiek Smółka z Beska, ale

pisało się jego imię jako „Trzesiek”, stąd Trześniów. Inna legenda mówi, że to Jan Sobieski pokonał w Trześniowie Tatarów, którzy rzekomo spalili dwór na Sikorce, a po sobie zostawili znaki bite toporem w ścianie kaplicy. Próbowali też wjechać końmi do nowo budowanego kościoła, ale konie się zatrzymały i trzęsły straszliwie. Bicie i straszenie zwierząt nie pomogło, więc nazwa Trześniów nawiązuje do trzęsących się tatarskich koni. Wspomnę też o legendzie, brzmiącej jak święta opowieść, która mówi o zatrzymaniu się przy pobliskim dębie Matki Bożej, choć prawdopodobnie jej obrazu, który próbowano przewieźć z Węgier do Starej Wsi. Ponoć pastuch widział, jak Matka Boża myła nogi w strumyku pod lasem w niezamarzającej odtąd nigdy wodzie, a idąc przez las zadrapała się na twarzy. Pastuch, widząc to, uciął tę wystającą gałąź, liśćmi opatrzył jej ranę i podał w kubku świeże mleko. Koło kamienia, gdzie siedziała Matka Boża, zrobił żerdzie i kółko na ziemi, a do niej powiedział: „Tu będzie na zawsze Twoje miejsce”. Po niedługim czasie w tym miejscu postawiono kościół, a w pobliskim strumyku płynęła uzdrawiająca woda, z czego okoliczni wierni ochoczo korzystali. Wspomniany dąb rósł ponad pięćset lat.

Okolice Trześniowa to była różnorodność kultur, obyczajów, przeróżnych zachowań... Przekrój osiedleńców był bardzo szeroki. Z Podhala przybywali górale, z innych stron Ukraińcy, Kozacy, Tatarzy, Rosjanie, Białorusini, Węgrzy karpaccy, później w niewielkiej liczbie Żydzi i Niemcy. Rodziło się nowe słownictwo, inne akcenty, zawiązywały się grupy społeczne, prawie jakby klany tworzące między sobą rodowe więzi. Bez trudu można zauważyć, że i rodzina Tabiszów miała swoją grupę rodzin, z których wybierano kandydatów do ożenku, kandydatki do zamążpójścia, rodziców chrzestnych, świadków, swatów, kumów czy pogrzebowe płaczki. Literatura etnograficzna jest pełna opisów zwyczajowych praktyk, które funkcjonowały w galicyjskiej społeczności. Niezwykle ciekawie wyglądała droga do ołtarza. Ten zwyczaj był w pełni stosowany jeszcze w czasach, kiedy mój dziadek Bartłomiej trafił na swoje osobiste szczęście, czyli pannę Izydorę Stączek. Bez sprytnego swata i obiecanych dolarów zdobycie cennego skarbu, jaką była dziesięć lat młodsza jedynaczka, do tego z innej wsi, byłoby nieosiągalne. Dziewczyna z innej miejscowości to dodatkowa przeszkoda. Targi trwały parę dni, każda ze stron podnosiła lub obniżała wartość tego „szlachetnego towaru”, jakim była panna młoda, przy tym nie szczędzono sobie śmiesznych, a nieraz złośliwych docinków, popijano alkohol, smacznie się goszczono, rozchodzono i schodzono. Negocjacje odbywał się bez obecności kandydatów do zaślubin. Dopiero w ostatniej godzinie lub też dniu przyszli państwo młodzi zapoznawali się z wynikiem ślubnego traktatu. Mama panny młodej

sprowadzała córkę, przedstawiając jej: „Oto twój przyszły kandydat na męża”. W praktyce jednak młodzi już wcześniej spotykali się w sekrecie. Czas przedślubnych negocjacji to czas szczególnych ustaleń, czas zapowiedzi i kościelnych zaręczyn, jak również zaręczynowej przysięgi, wyznaczanie wzajemnych wizyt rodzin obu kandydatów i wreszcie daty ślubu oraz wesela, bo to były dwa odrębne terminy.

Trudną drogę do ołtarza mieli biedni młodzi ludzie. Wtedy na przykład panna, czyli kandydatka z białą kokardą na głowie, i kandydat chodzili po domach, zbierając od ludzi tak zwane wilcze datki na ślubne wydatki. Pannie Izydorce ten zwyczaj nie groził, natomiast ona i Bartłomiej wzięli ślub starym zwyczajem, kiedy to ceremonia kościelna, czyli przysięga ślubna składana była w obecności księdza i tylko świadków pary młodej, co odbywało się prawie zawsze w środę przed weselem. Ślubną środę poprzedzały zaś tzw. kleszczyny, czyli wtorkowe osobne gościny dla młodego pana i panny młodej. Wesele odbywało się najczęściej w najbliższą po środzie niedzielę, a jeszcze w następną planowało się poprawiny. Jeśliby dzisiaj były tak bogate zwyczaje zaślubin, to rozwody małżonków byłyby chyba prawie niemożliwe.

Nagłego powrotu Bartłomieja z drugiego pobytu w Ameryce do dziś nie umiem zrozumieć. Wyboru szybszego i droższego statku przez Glasgow do Hamburga, potem kolejną do kraju. Nie znam wiadomości, którą otrzymał od rodziny. Teraz, kiedy wiem więcej o obyczajach panujących wtedy w Galicji, domyślam się, że mogło chodzić o mocno zakorzeniony tzw. stan wczesnego przygotowywania się na śmierć, na długo przed jej nadejściem. Wiadomo, że w tym czasie stan zdrowia ojca Bartłomieja – Pawła nie był dobry. Miał spore problemy z krzyżem i nogami, a może i inne schorzenia, a było to na półtora roku przed jego śmiercią, więc może ustalili ze swoją żoną Karoliną, że trzeba jak najszybciej do tego wydarzenia się przygotować, a pomoc im może tylko niezawodny syn Bartłomiej, który jest w Ameryce. A syn – jako odpowiedzialny i kochający – nie oglądał się na nic, tylko przerwał swoją amerykańską zarobkową podróż i wrócił przez ocean pomóc rodzicom. Według ówczesnego zwyczaju kupowało się wcześniej trumnę i gromnice dla jeszcze żyjącego kandydata do odejścia na drugi świat. Trumna była trzymana najczęściej na strychu, gdzie taki mebel czekał na swojego lokatora, miesiące, a bywało, że i lata. Zdarzało się, że ów mebel w tym czasie był wykorzystywany jako pojemnik na zboże. Wśród tamtejszej społeczności funkcjonowało przekonanie, że jeśli lokator się trzyma, a zboże w trumnie też, to pomnożenie dobytku jest zapewnione! Nie wszystkich było stać na kupowanie trumien, szczególnie ludzi bardzo biednych, włóczęgów

czy samotnych. Wtedy pochówek był tani i prosty, okrywano nieboszczyka tylko płótnem i zakopywano go w ziemi.

Były i złe, nikczemne zwyczaje, dziwne metody wychowawcze, szczególnie w rodzinach biednych i zacofanych. Zdarzało się, że nakazy religijne doprowadzały do tragedii i traum ludzkich. Były to też czasy demonów, herezji, schizm, kłąt... Te zacności filozoficzne miały też inny cel. Cel trzymania danych grup społecznych w reżimie, kagańcu, bo lęk i przerażenie były elementem ciągłości władzy. Księga Sądowa Trześniowa z 1419 roku opisuje wydarzenia, konflikty i spory, a tylko w części dotyka obyczajów międzyludzkich Trześniowa i okolicznych wsi. Prowadzona jest do 1609 roku, a obecnie znajduje się we Lwowskim Muzeum Narodowym i jest jedną z najstarszych polskich ksiąg sądowych. W księdze tej dokonano pierwszych wpisów przybyłych tu osadników, a są to: Tabisz i Zbiegien, później Wonton, Prorok, Madej, a dalej Prugar, Romanowicz i Wojnar, a z latami przybyło wielu innych osadników. Nie znamy danych, co do liczby mieszkańców, dopiero pod koniec XIX wieku została dodana informacja, że Trześniów liczy już pokaźną liczbę, bo 1267 mieszkańców.

W tych właśnie warunkach i okresie dorastał Bartłomiej, na którego największy wpływ miała kultura, obyczaje, religia i wychowanie w domu. Według mnie dziadek Bartłomiej przyswoił sobie wszystko, co najlepsze, a wpojone w młodości zasady w pełni wykorzystał w swoim znacym i długim życiu.

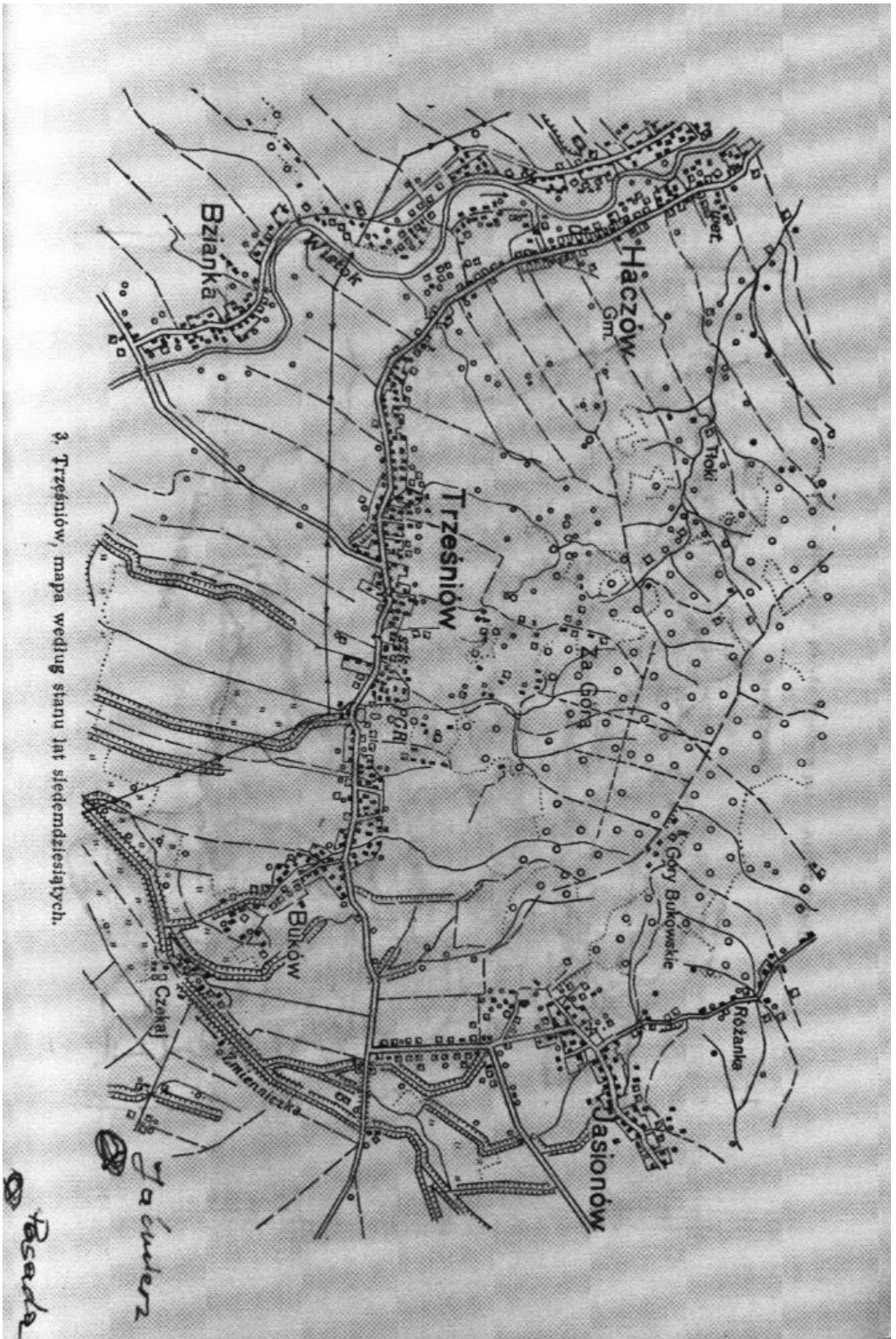
Dzisiaj nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego tak długo czekałem, aby opisać jego historię. Myślę, że złożyło się na to wiele okoliczności. Emigracja, nowe środowisko, język, praca, rodzina. Przy jakichś rodzinnych wspomnieniach, starszy syn Irek zaproponował, aby odwiedzić rodzinne strony dziadka Bartłomieja, tzn. ziemię podkarpacką. Byliśmy tam dwukrotnie i udało nam się odwiedzić archiwa, parafie, a także spotkać wielu ciekawych ludzi, lokalnych społeczników. Odkryliśmy też w Internecie istnienie owej najstarszej Księgi Sądowej Trześniowa, czyli rodzinnej wsi Bartłomieja. Miałem możliwość wyjazdu do Ameryki, gdzie zwiedziłem wyspę Ellis Island w Nowym Jorku, która pełniła rolę punktu kontroli nowo przybyłych imigrantów. Byłem też w Muzeum Emigracji. Sporym zaskoczeniem okazało się znalezienie w Internecie listy pasażerów z dwukrotnej podróży dziadka Bartłomieja do Ameryki.

Ciężka praca na emigracji opłaciła się naszemu bohaterowi. Szczęśliwie założył rodzinę, na którą było go stać. Dobra passa nie mogła jednak trwać wiecznie. Wybuchła pierwsza wojna światowa. Bartłomiej jako żołnierz armii austriackiej dostał się do rosyjskiej niewoli i wkrótce do transportu na daleką Syberię. W drodze podjął się z kolegami ucieczki z pociągu, która szczęśliwie się udała.

Dzięki pomocy Rosjan udało mu się wrócić do ukochanej żony i trójki dzieci.

Marzeniem Bartłomieja nie było trzymanie swoich ciężko zarobionych dolarów zakopanych pod drzewem, ale posiadanie własnego dużego gospodarstwa. Kilka lat później to marzenie zaczęło nabierać realnych kształtów. W 1918 roku Polska odzyskała niepodległość, a na jarmarku w Zarszynie dawny znajomy opowiedział Bartłomiejowi, w jaki sposób i gdzie można kupić spore gospodarstwo. Wybrał Wielkopolskę jako ziemię obiecaną. Od niemieckich osadników kupił ziemię z zabudowaniami we wsi Wronowy, w gminie Strzelno, w powiecie mogileńskim. Historia jednak Bartłomieja nie oszczędzała. W 1939 roku wybuchła druga wojna światowa, a wraz z nią rozpoczęła się okupacja, za którą stały łązy i cierpienia milionów ludzi. Ten okrutny młot uderzył również w rodzinę Bartłomieja. Sześć lat tułaczki udało się szczęśliwie przetrwać, by powrócić w końcu na swoje. Entuzjazm trwał jednak krótko, bo po wojnie Polska znalazła się pod „troskliwą opieką” Związku Radzieckiego. Dziadek Bartłomiej wraz z rodziną doczekał się tytułu rodziny kułackiej. Kłody ponownie zostały rzucone pod jego nogi. Rozwaga, roztropność oraz pracowitość pozwoliły przetrwać i tę nawałnicę. Jak w każdym życiu, tak Bartłomieja dotykały rozmaite trudności. Jednak takie wartości jak miłość do człowieka, ojczyzny, przyrody dawały mojemu dziadkowi siłę w najtrudniejszych momentach i pozwoliły dożyć szczęśliwie sędziwego wieku.

Chciałbym jeszcze podziękować synowi Ericowi Tabichowi, za inspirację i olbrzymi wkład w poszukiwanie śladów podróży dziadka Bartłomieja do Ameryki, za znalezienie list pasażerskich oraz cierpliwe odkrywanie innych kart historii rodu Tabiszów.



Mapa Trześniowa i okolic

TRZEŚNIÓW I JEGO HISTORIA

W średniowieczu w wielu państwach Europy ciągle zmieniały się granice państw, państwewek, księstw czy królestw. Także nasza ojczyzna wciągana była w różne konflikty i bitwy graniczne. Królowie ówczesnej Polski widzieli złożoność problemów i warunek odbudowy potęgi państwa Piastów. Jednym z pierwszych królów, który poczynił znaczne kroki w tym kierunku, był Władysław Łokietek, a następnie Kazimierz Wielki (1333-1370). Odzyskał on utracone od południa tereny i podpisał pokój z Czechami w 1339 roku w Wyszehradzie. Do Polski powróciły też tereny ziemi dobrzyńskiej i Kujaw, a także Ruś Halicka i okresowo Lwów. Opracowano status prawny państwa oparty na prawie niemieckim, choć osobno dla Wielkopolski i osobno dla Małopolski. Powstały nowe cechy rzemieślnicze. Miastom nadano prawa miejskie, zaś niektórym osadom prawo do tworzenia urzędów sądowych.

Takimi to przywilejami szczyły się okolice, gdzie dzisiaj w województwie podkarpackim leży Trześniów. Władysław Jagiełło, będący tu wraz z orszakiem w podróży na Węgry, postanowił stworzyć na terenie dzisiejszego Trześniowa osadę, chwając to miejsce jako przyjazne do życia ze względu na klimat i położenie między Wisłoką a Sanem. Punkty rycerskie miały strzec, ściągać i zachęcać ludzi, a przede wszystkim chłopów do korzystania z ziem dworskich i klasztornych. Szczególny przywilej mieli ci chłopci, którzy wydarli ziemię przyrodzie, czyli lasom, ugorom, dzikim nieużytkom i pastwiskom. Jeśli ziemię taką doprowadzili do użyteczności, zarządzali nią do końca życia lub nie krócej jak 50 lat. Była to ciekawa zachęta do zagospodarowywania tych terenów, do powiększania liczby mieszkańców na tym obszarze Polski, a wówczas było nas, Polaków, trochę ponad dwa miliony. Zjeżdżali się biedni, bezrolni i ciekawi życia ludzie, bo ta gruntowa zachęta była trafną decyzją, by stworzyć tu dom i założyć rodzinę. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że to z tych życiowo zasadnych powodów znalazł się tutaj ród Tabiszów, a właściwie to jakaś jego odnoga. Druga żyła w województwie stanisławowskim, w dzisiejszym Iwano-Frankowsku. Tę wiadomość uzyskałem niedawno od człowieka mieszkającego w Argentynie. To emigrant o nazwisku Tabisz, którego dziadkowie przybyli do Argentyny około sto lat temu. Niestety, nie mówi po polsku, tylko po hiszpańsku i angielsku. Powiedział mi, że jego pra-, pra-, pradziadkowie pochodzili właśnie z okolic



Chata Madejów, 1903 r.

Stanisławowa i wymienił takie nazwy jak: Zamczysko czy Buczacz. Tak zrodziła się moja hipoteza, że tam sięgają korzenie naszego rodu, ale czy trafna? Powróć jeszcze do Księgi Sądowej i historii Trześniowa. Tu Kazimierz Wielki posadził dąb, który rósł do lat trzydziestych ubiegłego wieku i był symbolem uzdrowień i bogactwa. Miał prawie pięćset lat, kiedy huragan skrócił jego wiekowy żywot.

Nie znalazłem wiarygodnych źródeł, które wyjaśniałyby, jak powstała nazwa Trześniów. Legendy głoszą, że żył tu wojownik bitny i odważny, który zwał się Trześnią, bo miał wielkie szczęście, zapisywane wówczas jak „strzescie”. W XIV wieku Trześniów zyskał nawet prawa miejskie, przedtem miał miano wsi królewskiej. Po 1360 roku utworzono tu urząd sądowy, a rada tego urzędu wyznaczała pisarza, który zyskiwał mianowanie od wójta lub starosty. W początkach XIV i XV wieku księgi sądowe pisane były tylko po łacinie, później mieszanym pismem łacińsko-polskim, a dopiero pod koniec XV wieku pisano prawie wyłącznie w języku polskim, który dziś jednak brzmiałby i wyglądał dość dziwnie.

Kilka lat temu miałem okazję przewertować kartka po kartce tę księgę, była ona wówczas dostępna w internecie. Pozycja ta ma wielką wartość historyczną i rzecz jasna – muzealną, jej domem stał się Lwów, a konkretnie tamtejsze

Muzeum Narodowe przechowuje ten dokument do dziś. Nie znam łaciny, więc przeczytać mogłem części środkowe i końcowe, bliżej XVI wieku, a opis dotyczył lat 1340-1560 i wydarzeń w Trześniowie, Bziance, Zmiennicy, Jasionowie i innych pomniejszych okolicznych osadach. Opisane są tam spory, zwady, pretensje spadkowe, jak to między ludźmi, sąsiadami i władzą.

Pierwszy raz nazwisko Tabisz pojawia w Księdze Sądowej w 1419 roku. Rodzina Tabiszów wraz z rodzinami Madej, Pojnar, Prugar i Kaczor tworzyła zręby osady trześniowskiej. Tylko z numeracji domów wynikało, że jest takie nazwisko, gdyż było one pokretnie zapisane. Nasze nazwisko pisano w kilku wersjach, np. Tobis, Thabish, Tobiasz czy Tabis, ale podobnie działo się z innymi nazwiskami. Prawdopodobnie zależało to od pisarza, jego przygotowania językowego czy kwalifikacji urzędniczych... Mieszkańcy Trześniowa byli bardzo przywiązani do pochodzenia, kto skąd pochodził, jakim akcentem mówił. Związki małżeńskie zawierano między swoimi. Zdarzało się, i to wcale nie tak rzadko, że małżeństwa zawierano między kuzynami, rodzicami chrzestnymi dla rodzeństwa zostawali wtedy członkowie tej samej, najbliższej rodziny.

Warto zaznaczyć, że Tabiszowie zapisali się w historii. Dwukrotnie wybierano ich na urząd wójta Trześniowa – w roku 1568 roku Wacława Tabisza, a w 1618 Ignacego Tabisza. Z pewnością w rodzie Tabiszów znaleźć można wielu zacnych i szlachetnych ludzi rzemiosła, kultury, nauki i polityki. W długiej historii tej wielkiej rodziny byli i są tacy, o których warto kilka zdań napisać. Wielu członków rodziny zostało zamordowanych w czasie pierwszej i drugiej wojny światowej. Zginęli też w obozach na ziemi sowieckiej, a niektórzy stracili życie już po II wojnie światowej, jak Stanisław Tabisz, zamordowany w więzieniu mokotowskim 5 lutego 1947 roku. Urodzony 22 września 1888 roku w Podzameczku koło Stanisławowa skończył studia prawnicze we Lwowie. W 1918 roku wstąpił do odrodzonego Wojska Polskiego, gdzie został dowódcą 8. Pułku Artylerii Polowej w Rembertowie. Z wojska przeszedł do pracy prawniczej, otworzył biuro adwokackie we Lwowie, równocześnie prowadząc działalność polityczną. Po II wojnie światowej przeprowadził się do Gdańska, tutaj także prowadził kancelarię adwokacką, będąc równocześnie w zarządzie Komitetu Naczelnego PSL w Gdańsku. Wielu działaczom politycznym pomógł uciec na Zachód, między innymi Stefanowi Korbońskiemu i za to władza ludowa, a konkretnie Urząd Bezpieczeństwa, sprowadziła go do pionu, stosując ciężkie tortury w mokotowskim więzieniu i doprowadzając do śmierci. Stanisław Tabisz pochowany został na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie, w kwaterze „Na Łączce”.



Trześniowskie kobiety w drodze do kościoła

Wspominałem tylko o pewnych ludziach i wydarzeniach z historii rodu Tabiszów, którego członkowie byli bez wątpienia współtwórcami tradycji i kultury ziemi sanockiej. Mieszkańcy Trześniowa tworzyli wielokulturową społeczność, jako że przybyli z różnych stron. Wiemy, że pochodzili z południa, wschodu i zachodu. Według miejscowej opinii mieszkańcy z gór różnili się wyglądem, ubiorem, mową i tradycjami, przybysze ze wschodnich rubieży, jak się z kolei mówiło „śmierdzieli Rusinami”, ale cechowała ich pracowitość i miano dobrych rolników. Zaś z północy byli to w większości dynowianie (dziś wieś i gmina Dynowa), którzy uważali się bardziej za rasę pańską i tam każda rodzina musiała mieć w domu kilim lub dywan. Sam Trześniów w różnych okresach miał wewnętrzne swoje podziały na: Skopówkę, Wojtaszków, Krawcówkę, Przygirze, Podleśnicę i inne. Środek wsi, koło kościoła, to osada rodziny Kaczorów. Przynależność religijna trześniowian to szerszy temat. W przeszłości żyli tu osadnicy religii żydowskiej, prawosławnej i katolickiej, każda z nich odcisnęła swoje piętno.

Historia kościoła katolickiego została dokładnie spisana na tablicy kościelnej obecnego kościoła parafialnego św. Stanisława Biskupa i Męczennika. Na początku XVI wieku Trześniów należał do parafii jasionowskiej, lecz po kilku latach oderwał się od niej, stawiając kaplicę, a następnie kościół drewniany, gdy

dekadę później, jeszcze w XVI wieku, dziedzic Jasionowa zmienił wyznanie i przyczynił się do rozebrania starego drewnianego kościoła i pobudowania kościoła murowanego, który to wielokrotnie był rozbudowywany aż do XIX wieku. Od samego początku przy kościele wydzielona została działka na cmentarz, który dziś zdobią drzewa i dobrze utrzymane stare grobowce.

Na początku XX wieku Trześniów liczył 1270 mieszkańców i ta liczba mniej więcej utrzymuje się do dziś. Wciąż jeszcze słyszy się tak zwane stare nazwiska, te które budowały tu pierwsze zagrody na początku XIV wieku, takie jak: Wojtun, Tabisz, Czyż, Kaczor. Madej, Pajner, Wojnar czy Prugar. Przez wieki tworzyły one różne koligacje rodzinne, co widać z drzewa genealogicznego, które załączam.

W praktyce wzajemne losy nie zawsze układały się szczęśliwie. Życie galicyjskich mieszkańców zmieniło się na skutek warcholstwa i kłótni w polskim państwie. Otaczające nas silniejsze kraje odebrały nam naszą suwerenność. W 1772 roku doszło do pierwszego rozbioru Polski, gdzie cała Galicja dostała się w ręce austriackiego zaborcy. Nastąpiły zmiany administracyjne i polityczno-społeczne, jednak te zmiany nie były tak drastyczne jak w pozostałych dwóch zaborach – niemieckim i rosyjskim. W zaborze austriackim zmieniono system



Brat Bartłomieja, Marcin, wozi zboże, 1907 r.

szkolnictwa z czteroklasowej szkoły podstawowej na trzyklasową szkołę, ale obowiązkową i z przyzwoleniem nauki języka polskiego. Biedne i wielodzietne rodziny były zwolnione z danin i pańszczyzny. Mogły też działać różne organizacje chłopskie. Te prawa i przepisy zostały bardzo przychylnie przyjęte przez galicyjskie społeczeństwo.

BARTŁOMIEJ I ŻYWOTA JEGO POCZĄTKI

Nasz bohater, a mój dziadek Bartłomiej, urodził się 21 sierpnia 1873 roku w Trześniowie, w powiecie brzozowskim, w województwie lwowskim, w ówczesnym zaborze austriackim, jako trzecie dziecko, i jak się później okazało, ostatnie. Wiem z opowiadań, że życzeniem ojca Pawła i mamy Karoliny było mieć czworo dzieci, ale w tym względzie szczęście im nie dopisało.

W tym czasie na wsi galicyjskiej funkcjonowało wiele przesądów i zwyczajów. Kobieta oczekiwała na poród otoczona różnymi ziołami i przedmiotami chroniącymi ją przed złem. Były to przeważnie czosnek, dziki bez, sól oraz ostre narzędzia kuchenne i gospodarskie. Radość z narodzin też nie była zawsze taka sama. Syn cieszył rodziców bardziej niż córka, której wydanie za mąż wiązało się z zapewnieniem posagu, a nie wszystkich było na niego stać. Kiedy urodził się Bartłomiej, tata Paweł potwierdził swoje ojcostwo, podnosząc chłopczyka ponad głowę i mówiąc: „Mój ci on jest”.

Rodziny Karoliny i Pawła należały do rodzin chłopskich, średnio zamożnych, ale liczących się wśród lokalnej społeczności, a to z racji tego, że rodzina Bartłomieja, jak i Karoliny z domu Kaczor, to nazwiska pierwszych osadników Trześniowa. Przyjście na świat Bartłomieja było dla wszystkich wielkim szczęściem, bo chłopczyk urodził się zdrowy i piękny, a natrętne Cyganki przypatrując się niemowlęciu, mówiły: „To będzie zacy i szlachetny człowiek, będziecie mieli z niego wielkie zadowolenie”.

Kiedy piszę te słowa, to widzę wielką prawdziwość tych przewidywań. Już w pierwszych tygodniach rodzina zdecydowała się ochrzcić małego w tutejszym kościele. Nie rozumiem powodów, ale rodzicami chrzestnymi zostali ci sami ludzie, co wcześniej urodzonej córki Agnieszki i syna Daniela, czyli Antonina Tabisz, córka brata Pawła i Marcin Czyż, syn siostry Karoliny. Czyżby istniał jakiś zwyczaj, przesąd, który mówił, że tylko ta jedna para da dzieciom szczęśliwe i długie życie? Kiedy ojciec Bartłomieja, Paweł Tabisz, poślubił Karolinę Kaczor, zamieszkali w niewielkim pokoju u rodziców Karoliny. Z kolei mama Karoliny pochodziła z rodziny Madejów, mieszkającej po sąsiedzku. Madejowie mieli dwóch synów, którzy wyemigrowali do Ameryki, na początku przysyłałi jakies tam pieniądze, ale o ziemię i zabudowania trzeba było stale dbać. Ze względu na wiek starym Madejom było coraz trudniej to wszystko utrzymać i obrobić, więc Karolina z Pawłem byli dla nich ratunkiem i pomocą.



Galicyjski chłop, członek rodziny Tabiszów

Tak się złożyło, że pod koniec życia rodziców Karoliny ktoś musiał przejąć ich niewielką gospodarkę. Więzy z córką były im najbliższe. Starzy Madejowie chcieli przepisać posiadłość na Karolinę, ale nie było to takie proste. Zgodnie z prawem synowie z Ameryki powinni wyrazić zgodę na zrzeczenie się tak zwanej domowizny. Mimo wysyłanych listów i pism nie było żadnej odpowiedzi, wtedy Sąd Rejonowy w Brzozowie sam postanowił wysłać odpowiednie pismo do Ambasady Austriackiej, która reprezentowała polską ludność w Stanach Zjednoczonych, podając adresy synów, jakie podali Madejowie. Odpowiedź przyszła po pół roku, że takich ludzi nie ma w ewidencji. Ostatecznie synowie się znaleźli, ale po paru latach, gdyż jak się okazało, w tym czasie przebywali w więzieniu. W tej sytuacji sąd miał jedno wyjście, czyli wydać orzeczenie, że Madejowie mogą przepisać swoją posiadłość komukolwiek. Tak oto Paweł Tabisz i Karolina stali się posiadaczami paromorgowej gospodarki, w znacznym stopniu zaniedbanej. Kiedy młodzi Tabiszowie otrzymali dokument własności, ich córka Agnieszka miała siedem lat, syn Daniel trzy lata, a na świat przyszedł właśnie Bartłomiej. Krótco przed jego narodzinami tata Paweł zdążył jeszcze położyć podłogę z heblowanych sosnowych desek, aby mały Bartuś miał się dobrze

w odnowionym pokoju ku radości rodziców, a szczególnie starszej siostrzyczki Agnieszki i braciszka Daniela. Jak wspominałem, Bartek był dzieckiem nie tylko sympatycznym, ale i dobrze się chowającym oraz o miłym usposobieniu.

W wieku ośmiu lat, bo tak zdecydowali rodzice, Bartłomiej poszedł do szkoły, która wtedy trwała tylko trzy lata. Galicyjscy uczniowie uczyli się pisania i czytania, także języka niemieckiego oraz rachunków. Młodzieńcze lata to jednak przede wszystkim praca w gospodarstwie: wypasanie krów, pilnowanie gęsi i kaczek, z których rodzina miała spory dochód. Tuż za zabudowaniami był spory staw z wchodzącym do niego rowem, ciągnącym się wzdłuż łąk porośniętych młodymi topolami, w których ptactwo wilo swoje gniazda. Bartłomiej uwielbiał spoglądać w niebo na krążące wysoko jastrzębie, wpatrywał się w nie, w ich okrężne loty. Uczył się nasadzać kury na jajka do wylęgu, karmił kurczęta, z czasem polubił prace związane z usterkami i remontem domu. Nauczył się kłaść i układać snopy słomy na dachu, czyli robić strzechę, wymieniać okna. Czuł, że ma do tego smykałkę. Stał się też pomocnikiem dziadka Kaczora, który miał cały sprzęt kołodziejski i wiedział, jak się robi orczyki, luśnie do wozów dużych i małych. Nawet dziedzic trześniowskiego majątku zamawiał u niego całe wozy lub jakieś ich części. Właśnie tam zapoznał się z ciężką pracą wozowego – kołodzieja Stelmacha. Wiedział, że najtrudniejsza robota to wytaczanie dzwonów i piast do wozowych kół.

Można powiedzieć, że do dwudziestego roku życia Bartłomiej prowadził życie pracowite, ale i beztrudne. Wiosną 1893 roku otrzymał wezwanie do stawienia się przed komisją wojskową w Sanoku i po badaniu lekarskim, które okazało się bez zastrzeżeń, powiedziano mu, że wkrótce dostanie zawiadomienie o stawieniu się do wojska: „bo siły zbrojne cesarza Franciszka Józefa I potrzebują takich ludzi jak wy”.

Często poborowi otrzymywali wezwania do bardzo odległych garnizonów na Węgrzech, w Austrii, a nawet we Włoszech. W tym czasie w Galicji funkcjonowały dwa duże garnizony wojskowe: Garnizon Krakowski i Garnizon Lwowski – i już po dwóch miesiącach Bartłomiej miał bilet w rękę i jechał do jednostki wojskowej w Przemyślu. Ulżyło mu, ale wciąż nie był pewny, co będzie dalej i po półrocznej służbie przeniesiony został do II Brygady Piechoty we Lwowie, gdzie odsłużył jeszcze 16 miesięcy. Wojsko austriackie w garnizonie było podzielone na grupy językowe i specjalistyczne. Bartłomiej trafił do grupy językowej mieszanej, o specjalności budowlanej. Wojsko austriackie miało za cel poprawę świadomości młodego człowieka, nauczania go dyscypliny wojskowej i zaangażowania w budowę obiektów wojskowych lub cywilnych takich jak

drogi, mosty czy obiekty kolejowe. Bartłomiej trafił na linię budowy rozjazdów kolejowych w kierunku południowym, gdzie poznał dwóch kolegów spod Krakowa: Albina z Bochni i Dominika z Brzeska. Przyjaźń ta okazała się niezwykle pożyteczna. To oni namówili go, że po wojsku razem wyjadą na Śląsk.

Całej trójcy służba kończyła się w połowie kwietnia 1895 roku. Dominik mówił, że ma szwagra w Gliwicach, który może im pomóc, ale najpierw musi do niego napisać, a właściwie to do siostry Viktorii, która mieszka w Gliwicach na Śląsku i jest żoną właściciela restauracji i niewielkiego hotelu. Ów mąż z pochodzenia był Niemcem, nazywał się Gerard Edgath i był ponoć dobrze ustosunkowany do polskiej społeczności. Poza tym miał szerokie kontakty i znajomości z wpływowymi ludźmi na Śląsku.

Przyszedł koniec służby wojskowej, serdeczne pożegnanie, rozstanie z kolegami i wyjazd do Trześniowa. Po paru dniach pobytu w domu Bartłomiej stwierdził, że pewnie na nic obietnice Dominika, i że musi sam wziąć sprawy w swoje ręce. Znaleźć dobrą pracę, bo żeby założyć rodzinę, trzeba zarabiać i mieć pieniądze na chleb. Może pojedą na Śląsk lub gdzieś w Polskę, jak mój starszy brat Daniel, który od trzech lat pracuje w Porcie Gdańskim i który obiecał, że coś tam dla mnie znajdzie, jak wróci z wojska – myślał. Z kolei mama Karolina mówiła tylko: „Bartuś, ty się nie spiesz, bądź cierpliwy, u nas jeszcze chleba dla ciebie starczy”.

I tak minęły prawie dwa miesiące, aż tu niespodziewanie przyszedł list od Dominika: „Przyjeżdżaj do mnie do Brzeska w poniedziałek, Albin też tu przyjedzie. Jest nadzieja. We wtorek rano jedziemy do Gliwic”. Bartłomiej aż zaniemówił, a do rodziców rzucił:

- Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie.
- Tak czy inaczej, bądź ostrożny, bo jak to mówią: „Nie chwal dnia przed zachodem słońca” – dodała mama.

Zostały jeszcze trzy dni, aby się przygotować. To był dla Bartłomieja bardzo ważny czas, by wszystko dobrze poukładać, przemyśleć. Na pewno będziemy z kimś rozmawiać, nie wiadomo, co to za praca i gdzie ona będzie, wewnątrz czy na zewnątrz, a przede wszystkim, czy podołam, no i czy ją dostaniemy – zastanawiał się. Gdzie będziemy mieszkać. Już mama nie będzie kłaść nam talerza na stole, chleba nie poda do ręki, nie położy czystych spodni na ławę.

Tymczasem Karolina zrobiła wszystko, co mogła, aby przygotować syna do drogi. Zawekowała słoiki ze smalcem, fasolą, zapakowała wędzony boczek, jajka, cebulę i wiele innych rzeczy. Walizka była wypełniona odzieżą i domowymi przetworami.

W poniedziałek, za dwadzieścia siódma, Bartek wsiadł w pociąg do Krakowa, a w porze obiadowej był już Brzesku. Wszystko poszło według planu. Brzesko było wówczas małym miasteczkiem, a rodzina Kruków wraz z Dominikiem mieszkała w niewielkim domku w bardzo urokliwym miejscu, na zarośniętej krzewami skarpie, gdzie w dole płynęła Uszwica. Działka była spora, a rodzina planowała rozbudowę domu w przyszłości. Rodzice zarabiali dobrze, ale pracowali w brzeskiej mleczarni po dziesięć godzin dziennie, od piątej rano do piątej po obiedzie.

Bartłomiej zapukał do drzwi. W środku zastał Dominika i jego szesnastoletnią siostrę Zuzię, która wróciła ze szkoły. Dominik zaprowadził Bartka na górę do swojego pokoju i opowiadał, jak może wyglądać ich spotkanie z siostrą w Gliwicach i z jej mężem. Dodał, że Albin dojedzie jutro przed południem. Przez Kraków, pociągiem do Wrocławia, o szesnastej mieli być w Gliwicach.

Z dworca do hotelu Gerarda mieli może niecały kilometr. Pulchnawa siostra Viktoria przywitała ich ze szczerą radością. Zaprosiła gości do wnętrza willi, która stała pośrodku ogrodu, w pewnej odległości od hotelowego budynku. Kazała usiąść młodzieńcom w służbowym pokoju męża. Zapytała, czy napiją się herbaty, czy może wody z sokiem malinowym. Wszyscy wzięli wodę ze sokiem. Już z ogrodu słychać było donośny głos mężczyzny, wołającego swojego ulubionego pupila, pieska Holge.

Kiedy Gerard przywitał się z Vikcją, jak nazywał żonę, ta uprzedziła go, że w pokoju czekają na niego goście.

– Witaj, drogi szwagrze. Ho, ho, to rodzina nam się tak niespodziewanie powiększyła? – zapytał prowokacyjnie, spoglądając na Bartka. – Chcecie od razu iść do Hopfnera na rozmowę, czy zaczekacie do jutra? Może najpierw zadzwonię do niego. Zapytam, czy jest na miejscu.

Gerard rozmawiał po niemiecku dłuższą chwilę. Odłożył słuchawkę i spojrział na Dominika, który od razu zareagował:

– Idziemy.

– Zaraz, zaraz. A adres? Wiecie, kogo szukać? Hopfner jest szefem od budowy dróg kolejowych w Niemieckiej Spółce Węglowej Teile-Vinkler w Zabrze, ale roboty wykonuje na terenie całego Śląska i nie tylko. Wie, o co chodzi. Musicie mu powiedzieć, co umiecie robić i zapytać o warunki pracy, to znaczy o pieniądze i ewentualnie mieszkanie... w barakowozach lub wagonach kolejowych, bo takie ich firma ma możliwości. Nie wiem, czy wszędzie. Uważam, że wypłatę powinniście odbierać raz na dwa tygodnie, ale nie rzadziej i najlepiej w markach, bo to dzisiaj najpewniejsza waluta. Cedrika Hopfnera znajdziecie

na ulicy Grötgera 6. Wyjdziemy na ulice, to wam pokażę, w jakim kierunku iść. Jak załatwiecie u Hopfnera, to wracajcie na noc do nas, a wieczorem o wszystkim porozmawiamy. Versteht ihr? Zrozumieliście?

Bartłomiej dopytał, czy Cedrik rozumie po polsku.

– Tak, można z nim się dogadać, ale jak umiecie po niemiecku, to jeszcze lepiej.

Bartek z Dominikiem i Albinem ruszyli w dwudziestominutową drogę ulicami Gliwic. Nie było trudno trafić. Okazały biurowiec z daleka rzucał się w oczy. Zameldowali się na portierni. Po chwili przysła młoda kobieta, która zaprowadziła ich do niewielkiej salki, kazała usiąść i czekać.

– Bartek, nie licz na to, że jeszcze ci jakiś poczęstunek i wino przyniosą – rzucił Albin. Ledwo to powiedział, kiedy otworzyły się drzwi i stanął w nich szczupły mężczyzna w średnim wieku.

– Ich bin Cedrik Hopfner – przedstawił się. – Po polska czy niemiecku – zapytał jeszcze.

Tu delikatnie wszyscy odpowiedzieli, że lepiej po polsku.

– Na początku muszę wam powiedzieć o kilku ważnych kwestiach – zaczął Cedrik. – Otóż teraz jest bardzo dobry czas dla Śląska. Każdy potrzebuje węgla, którego mamy na Śląsku pod dostatkiem, ale on nie pofrunie do elektrowni ani do huty, ani nigdzie, tylko trzeba go przewieźć. A dzisiaj najlepszym środkiem transportu jest kolej, ale kolej potrzebuje infrastruktury, czyli dróg kolejowych zwanych torami i rozjazdami torowymi, a także wagonów i parowozów. Obecnie potrzebne nam są tory, które poprowadzą do elektrowni w Brzegu, do huty Katowice, do Wrocławia, Krakowa, Chorzowa itd. Potrzeba nam zdolnych i pracowitych ludzi, i mam nadzieję, że ten warunek spełniacie. Pójdziecie jeszcze do kadr, aby spisać formalności. Są jakieś pytania?

Dominik wstał i zapytał:

– Jakie dajecie warunki płatności i czy dostaniemy jakiś dach nad głową w wagonie czy barakowozie.

– To już leży w gestii kierownika odcinka robót, który jutro was odbierze spod portierni o godzinie siódmej rano, on też ustala stawki godzinowe, które zaczynają się od dwóch marek za godzinę. Czas pracy to 10 godzin dziennie, każdy odcinek robót ma inne warunki i trudno mi powiedzieć, czy dostaniecie miejsce do spania. Waszym kierownikiem robót będzie Irek Staszkiś – doprecyzował Hopfner.

Ponownie przysła ta sama pani i zaprowadziła naszych adeptów do działu kadr. Wieczór spędzili u Viktorii i Gerarda. Cieszyli się z pracy i wysokości

zarobku w niemieckich markach. Ale to wszystko w teorii, jak będzie w praktyce, czas pokaże. Tak oto trzech przyjaciół z wojska stało się torowymi kolejarzami na śląskiej ziemi. Pierwsze dni pracy to usypywanie gruntu pod tory na odcinku Gliwice-Koźle-Brzeg. Wszystko byłoby w miarę dobrze, gdyby nie to, że Irek Staszkiś był prawdziwym Ślązakiem i tak raczej krzywo patrzył na tych, co nie ze Śląska. Dostali wagon mieszkaniowy, ale zamiast czterech mieszkało ich w nim siedmiu. Było tak ciasno, że stopy nie dało się włożyć, a co dopiero ustawić piecyk do grzania jedzenia. Dominik postanowił poskarżyć się Viktorii i Gerardowi, że jako nie-Ślązacy czują się dyskryminowani. Gerard miał porozmawiać z Hopfnerem i faktycznie po paru dniach dostali nowy wagon mieszkalny z wbudowanym piecem, łózkami i szafkami, a nawet wodę dało się podłączyć. Praca była różna: cięższa, lżejsza, w dużej mierze zależała od ukształtowania terenu. Łatwiej żyło się przy bogatszych wioskach, jak w odległym i leśnym terenie. Tak mijały miesiące, a z czasem lata. Zarobki dawały im jako taką satysfakcję, ale jak to się mówi: „W miarę jedzenia apetyt rośnie”. Po którejś wizycie u siostry Dominik dowiedział się, że można zarobić sto procent więcej, pracując w kopalni węgla kamiennego też w tej samej spółce, która jest posiadaczem kilku kopalń również w Zabrze i Mikołowie, a jeśli już pracowało się w spółce, to można było próbować przenieść się do kopalni.

Dominik dostał awans na ustawiacza torów, a Bartłomiej i Albin poszli pewnego ranka do znanej w okolicy kopalni węgla kamiennego „Königin Loise”. O dziwo, zostali przyjęci. Najpierw dostali pracę w sektorze odwodnień sztolni i szybów. To dość trudna i niebezpieczna robota, bo wszędzie dużo wody, czerpaki, rury i węże często pękały pod jej wysokim ciśnieniem. Praca była dwuzmianowa, po osiem godzin na zmianie, bardzo wyczerpująca i ciężka. Ludzie często nie wytrzymywali.

Bartłomiej z Albinem zostali przydzieleni na tak zwane wyrobisko. Pod czerpaki trzeba było podrzucać wyrobiony węgiel. Czerpaki pracowały na parcianych pasach, które napędzały koła zębate maszyny parowej. Tylko momentami można było się wyprostować, większość czasu pracowali w pozycji klęczącej lub pochylonej. Było też ryzyko wycieku gazu, bo wydobywanie odbywało się na głębokości 500-600 metrów pod ziemią. Górnicy mieszkali w prymitywnych hotelach i barakach, ale Bartłomiej i Albin poszukali sobie pokój z kuchenką, kawałek od kopalni, mogli nawet korzystać z łazienki. Mieli kawałek drogi, ale było to miejsce wygodne i tanie, tylko zimą płacili trochę drożej. Raz na miesiąc lub na dwa mogli jechać do domu i przywieźć trochę domowych produktów, jajek, boczku, słoniny, chleba, odwiedzić rodzinę, no i zawieźć cenne i ciężko

zarobione pieniądze. Paweł podziwiał syna, że Bartłomiej przywozi spore sumy, do tego jeszcze marki niemieckie.

– Ludzie mówią, że to ryzyko trzymać je w domu – mówił. – Najlepiej to zamienić je w banku na dolary i gdzieś dobrze zakopać.

Paweł zawsze był przezorny, chował pieniądze w słoiku i zakopywał w stodołę. Były tam bezpieczniejsze niż w domu, bo złodziei, band i Cyganów nie brakowało.

Mama Karolina tyko przypominała synowi, aby pamiętał o Bogu, chodził do kościoła i modlił się pokornie przed obrazem Matki Najświętszej, który dała mu na drogę.

– Tak, mam, powiesiłem go na ścianie w naszym pokoiku – odpowiadał.

Wiem od zawsze, że nasz dziadek Bartłomiej to człowiek pracowity, solidny i wielkiej wiary. Na torach kolejowych przepracował już dwa lata, ponad rok w kopalni i często, kiedy położył się do łóżka, rozmyślał nad dalszym losem, nad dalszym swoim życiem i pamiętał słowa babci Barbary, ze strony mamy, która mówiła, że w życiu najważniejsze jest, aby być nie tyle bogatym, co szczęśliwym. Zadawał sobie pytanie, jak to zrobić? Nigdy tak nie jest, że wszystko układa się jak w bajce. I zdarzył się taki dzień, taki moment, że Bartłomiej potknął się o bryłę węgla, upadł pod linę ciągnącą wagoniki z węglem. Żelazne kanty wagoników zdarły nie tylko rękaw z roboczej kurtki, ale i skórę na całym przedramieniu. Pojawiło się dużo krwi, zatrzymano kierat ciągniony przez konie. Zbiegli się koledzy, dopytywali o samopoczucie, opatrzyli ramię tylko wodą destylowaną, bo tylko to mieli w roboczej apteczce. Po dłuższej chwili przybiegł sanitariusz, który zabrał Bartłomieja na powierzchnię do sanitarnego pokoju. Tam dwie pielęgniarki zajęły się nim, obmyły dokładnie ranę, posmarowały jodyną, zabandażowały i kazały czekać na decyzję lekarza. Lekarz jeszcze obmacał całe ramię, kazał podnieść rękę w górę, na boki i poszedł za biurko coś pisać. Przyszedł i podał mu kartkę.

– To kiedy do roboty? – zapytał Bartłomiej.

– Panie Tabisz – odpowiedział lekarz. – Pan ma więcej szczęścia niż rozumu, przecież to żelastwo mogło panu rękę zmasakrować i jeszcze wiele innych szkód zrobić. A to i tak spora rana, potrzebny jest czas, aby się zagoiła. Za tydzień przyjdzie pan do kontroli, to zobaczymy. Ja wypiszę panu zwolnienie z pracy na dwa tygodnie. Musi iść pan do kopalnianego biura i tam je zgłosić, opisać wypadek, bo takie są wymogi kierownictwa kopalni.

Z tak zabandażowaną ręką Bartłomiej zameldował się w domu. Karolina, jak go zobaczyła, to za głowę się złapała.

– Boże kochany, a co ci, synku, się przydarzyło, złamaną masz rękę czy co?
– Nic takiego groźnego się nie stało – wytłumaczył wszystko dokładnie Bartek i rodzina się uspokoiła. Tata Paweł dodał tylko, żartując, że teraz to sobie przynajmniej odpocznie.

Po obiedzie przyszedł do Tabiszów Kazimierz Czyż, bliski przyjaciel, aby opowiedzieć o incydencie w trześniowskim dworze. Najpierw ktoś jakieś płyny palne z tyłu dworu rozlał, potem podpalił, buchnęło ogniem pod sam dach i zanim stróż dworski przyuważył, okna zdążyły się zapalić.

– Krzyk, panika na dworze. Dziedzicowa w szok wielki wpadła i kazała się w nocy do brata w Zarszynie zawieźć – opowiadał. – Następną noc jednego ze stróżów, związanego, do krowiej obory wrzucili, a spichlerz na dwadzieścia worków pszenicy obrabowali. Taborcy cygańskie nas często i gęsto odwiedzają. Bandytów i złodziei mamy więc pod dostatkiem.

– Słowakom, Ukraińcom czy Węgom też dobierają się do skóry – tłumaczył Paweł.

– To wszystko prawda, bo ludzie więcej wszystkiego mają. Popatrz tylko, Pawle, ilu to ludzi w Ameryce i innych krajach na pracy się dorobiło, choćby Kaczkowski z Jasionowa, Dykiel ze Zmiennicy czy Przewalak i Landa z Haczowa. Dokupili morgów i chałupy nowe postavili.

Tak oto rozwinęła się dyskusja o emigracji, dorobkach, wyjazdach, rozstaniach i tragediach. Z końcem XIX wieku temat emigracji w Galicji stał się tematem dość powszechnym. Nie było wsi, w której by ktoś nie wyemigrował do Ameryki. Jedni wracali z dolarami, inni zostawali za oceanem, a jeszcze inni ginęli bez śladu. Ludzie zaczęli emigrować pod koniec XVII wieku, najpierw do bogatszych krajów zachodniej Europy, jak Niemcy, Francja, Belgia czy Anglia. Nieco później odkryto Amerykę, jako kraj, w którym można zarobić na duży bochen chleba, choć był to kraj innego charakteru i z zupełnie innym środowiskiem, różniącym się od krajów europejskich. Przy tej okazji nie można pominąć takich wielkich ludzi na emigracji jak Tadeusz Kościuszko, który rozpoczął swoją podróż kształceniową od Drezna 1775 roku. Potem Paryż, a w rok później w 1776 był już w Ameryce, gdzie zapisał się do amerykańskiej armii, w której walczył o niepodległość Stanów Zjednoczonych, za co otrzymał awans na generała. Nie mniej zasłużonymi byli Kazimierz Pułaski, Włodzimierz Krzyżanowski czy Zygmunt Żuławski. Warto wiedzieć, że w 1913 roku z samej Galicji wyjechało ok. 133 000 osób. Dziś możemy przypuszczać, że w czasie kiedy toczyła się dyskusja pomiędzy Kaziem Czyżem a Pawłem Tabiszem, której to przysłuchiwał się wówczas dwudziestoczeroletni Bartłomiej, wyjeżdżało z Galicji może już

parę tysięcy osób rocznie, ale to też sporo. W każdym razie to wtedy Bartłomiej po raz pierwszy pomyślał o wyjeździe do Ameryki. Znał już swoją wartość. Był w kwiecie wieku, zdrowy, silny i pracowity. Podzielił się tą myślą z rodzicami, bo wiedział, że krewni Madejów już od kilkunastu lat żyją za oceanem. Karolina pochwaliła ten pomysł i obiecała porozmawiać ze swoją rodziną.

W niedzielne przedpołudnie cała rodzina Tabiszów szła do trześniowskiego kościoła na mszę świętą, a mama Karolina była szczególnie ukontentowana, kiedy miała po bokach swoich dwóch ukochanych mężczyzn. Po wyjściu z kościoła podbiegł do nich Kazimierz Tabisz, kuzyn ze strony ojca Pawła.

– Tyle o tobie myślałem, ale nie mogłem na ciebie nigdy trafić. Otóż mam do ciebie, Bartku, prośbę. Chciałbym cię prosić, abys został ojcem chrzestnym mojego dziecka, a konkretnie dwutygodniowej dziewczynki Izabeli.

– Dobrze – odpowiedział Bartek. – To kiedy chcecie zrobić tę uroczystość?

– Jakbyś mógł to już w przyszłą niedzielę.

– Prawie bym mógł, tylko ja jestem trochę kaleka.

Nie narzekaj, Bartłomieju, dziewczynka ma zaledwie pięć kilo, a z drugiej strony twoją druhną, czyli mamą chrzestną, będzie Ela Pojnar, a to mocna dziewczyna.

– Jak tak mówisz, to nie wypada nie przyjąć twojego zaproszenia.

Wyjaśniam, że Kazimierz był jednym z trójki dzieci starszego brata Pawła, Marcina.

W tygodniu Bartłomiej musiał jechać do brzozowskiego szpitala, by zmienić opatrunek.

– Może my z ojcem też pojedziemy – odezwała się mama Karolina. – Musimy zrobić trochę zakupów, a przy okazji kupimy jakiś drobiazg dla twojej małej chrześnicy, a ty pójdziesz w tym czasie do szpitala.

W tym dniu w Brzozowie odbywał się targ, ludzi wszędzie pełno. Szpital był niedaleko, kilka minut drogi. Już w wejściu dopadł Bartka szpitalny zapach. Pielęgniarka zaprowadziła go do doktora, który obejrzał ranę i ocenił, że ta bardzo ładnie się goi. Potem zawołał siostrę Zosię, ta opatrzyła ranę, posmarowała maścią i ponownie zabandażowała. Bartłomiej był zauroczony fachową obsługą, ale i urodą siostry Zosi. Podziękował, ucałował w rękę i chciał coś powiedzieć do urodziwej panienki, ale ona w tym czasie spojrzała na niego i jakaś siła odebrała mu mowę. Tak to jest z nieśmiałymi mężczyznanami. Wyszedł i zastanawiał się, dlaczego tak wyszło. Poszedł na targowisko, gdzie tata Paweł już czekał na wozie i mówił, że dziś handel poszedł jak nigdy. Jajka, kury, kaczki w godzinę sprzedali, a mama Karolina sprawnie zrobiła zakupy. Tak, wszystko się zgadzało,

bo śpioszki do chrześnicy były i koszula biała, nawet krawat dla Bartka, by w niedzielę mógł się godnie zaprezentować. Bartłomiej z podziwem oglądał to wszystko. Szybko też zapomniał o urokliwym spojrzeniu siostry Zosi.

Już przed dziesiątą w niedzielę był u Kazia Tabisza, zapoznał się z Izabelą i z swoją druhną Elżbietą, z którą – jak się okazało – był powinowatym. Do kościoła poszli piechotą, bo tradycyjnie chrzty udzielane były pod koniec mszy. Mała Izunia była spokojna do czasu, aż ksiądz wikary polał ją wodą święconą, mówiąc: „Ja ciebie chrzczę, Mario Izabelo, w imię Ojca i Syna”. W domu było sporo gości, rodzice żony Pelagii. Sąsiedzi. Smaczny rosół i mięso z indyka. Kaziu i Bartek wyszli do ogrodu.

– Powiedz no, Bartku, jak ci tam idzie na tym Śląsku, można tam zarobić? – zapytał Kaziu.

– Powiem ci szczerze, można, ale jest to dość krwawy zarobek. Zaczynam zastanawiać się nad zmianą. Nad wyjazdem do Ameryki – odpowiedział Bartłomiej.

– No, no – odrzekł Kaziu. – Nad wyjazdem do Ameryki. A żebyś ty wiedział, że ja również nad tym myślałem. Popatrz, ja tu się gnieźdźę z rodzicami i siostrą, chciałbym mieć też coś swojego, ale trzeba mieć pieniądze. To może oboje byśmy się wybrali za ocean – powiedział i spojrzał przyjaznym wzrokiem na Bartka.

– Powiem ci, że ja już powziąłem pewne kroki, by moja mama Karolina poprzez swoją rodzinę skontaktowała się z rodziną Madejów w Ameryce, bo gdzieś trzeba mieć tam punkt zaczepienia.

Twarz Kazia rozpromieniła się jeszcze bardziej.

– To co, mogę być twoim towarzyszem podróży?

– Oczywiście, jeśli tylko dostanę sygnał ze Stanów.

I tak stworzył się rodzinny, Tabiszowski duet wyjazdowy do Ameryki. Bartłomiej pojechał jeszcze do Rudy Śląskiej pozałatwiać formalności w kopalni węgla, zdać kopalniany sprzęt, odebrać resztę pieniędzy i rozliczyć się z właścicielką wynajmowanego pokoju. Rodzice sami namawiali go, aby teraz odpoczął i powoli przygotowywał się do podróży, bo mama Karolina otrzymała już wiadomość, że ktoś z rodziny z Polski może ich odwiedzić, a oni w miarę możliwości pomogą zrobić pierwsze kroki.

Spis treści

Trześniów i jego historia	11
Bartłomiej i żywota jego początki	17
Smak amerykańskiego chleba	28
Drugi wyjazd do Ameryki	57
Pierwsza wielka wojna światowa i Syberia	69
Blaski i cienie Iwana	101
Pomocni zwykli, prości ludzie	110
Szczęśliwy powrót	115
Praca w składnicy u Waława	128
Bogate życie Juliana	163
Nadzieja w zasięgu ręki	190
Wielkopolska i niespodziewana wieś Wronowy	200
Wronowy i szczypta historii	239
Jeziorne przygody Klemensa	254
Przyjazd żony Izydorki z małym Zdzisiem	265
Był sobie mały bezimienny człowiek	274
Narodziny imperium zła i początki II wojny światowej	284
Czas wojny i nowej wsi	297
Okupacja w Przyłubiu	304
Okupacyjne resztki	311
Rok 1945 i jego następstwa	324
Źródła	332

Miałem przed sobą nie lada wyzwanie – prześledzić życie dwóch bliskich mi osób: przede wszystkim mojego dziadka Bartłomieja i ojca Henryka. Mężczyzn tylko z pozoru jakich wiele – z jasnymi zasadami i wartościami. Niezwykłe koleje losu dziadka Bartłomieja: od wyjazdu do Ameryki, poprzez walkę w austriackim mundurze, zesłanie na Syberię i wielką stamtąd ucieczkę to materiał na film sensacyjno-przygodowy. W 1921 roku Bartłomiej trafia w okolice Strzelna koło Inowrocławia i staje się gospodarzem 23-hektarowego gospodarstwa z murowanym domem. Niestety szczęśliwe lata beztróskiego życia mijają szybko. Wybuch II wojna światowa, a kiedy po paroletniej tułaczce udaje się wrócić na swoje, to już nie wiekowy Bartłomiej, a jego syn Henryk przejmuje posiadłość, stając się jednak wrogiem ludu, kułakiem, i tylko niespodziewane wypadki polityczne wybawiają ojcowiznę od przejęcia przez państwo. Historia Bartłomieja i Henryka Tabiszów to przykład rodziny biorącej życie za rogi, której niestraszne są kolejne dziejowe zawieruchy, wierzącej, że życie jest darem, a ludzie z natury dobrzy.



Sorus

PRZEJDŹ
do księgarni online:
www.sorus.pl